

MARIUSZ GRZEBALSKI

Drugie dotknięcie

MARIUSZ GRZEBALSKI
Drugie dotknięcie

Krety

Irracjonalna potrzeba ciepła,
kiedy pół autobusu
opuszcza powieki
na przekrwione białka.

Mężczyźni śpią,
kobiety stoją.
Na szybach para
i wilgotne powietrze

jak papierowe ciasto
klei się w ustach.
Patrzymy przez siebie
na zewnątrz.

Na chmury
odslaniające brakujące miejsca,
na dziury po dymie.
Czas sobie nic z tego,

nie oferuje nic w zamian.
Odkrywa bloki
o brudnych dziąsłach,
po wyjściu strzela

w żyły zielenią,
na stołach zostawia kurz
i wezwania
ze zniechęconych urzędów.

Październik

Zapomniałem o nim. Więc dlaczego teraz —
jesienią, kiedy wiatr ładuje pod kołnierz
swoją wilgotną jezor? Kiedy jego żona i córka,
popychane, nie bez trudu nabijają na hak

wyszukane w trawie papiery i śmiecie,
a czarną foliową torbę wyrywa im z rąk?
Kim jest teraz, skoro z taką łatwością wydostał się
z kobiety i dziecka, za nic mając czas i odległość?

Ten sam co przed laty beret w kolorze zgnilego brązu,
sztuczna gałka oczna pod opadającą powieką.
Nagle obecny i równie realny, co malarze przed sklepem,
ciągnący wino z gwinta, choć to październik.

Czy tam skąd przychodzi, nie ma dla niego węża,
żeby jak tu podlewać mógł trawnik, i szpikulca
do nabijania petów rzuconych gdzie bądź?
Obce, stanęło przede mną — życie?

Trzy dni

Wyszedł po chleb i zniknął.
Kierowca ciężarówki był miły:
„To się zdarza, podrzuce”;
wszyscy pozostali — nie.
Teraz nie wie, skąd taki brud
po wyjściu z wanny, nie rozumie,
dlaczego trawa, igliwie.

Pokój z widokiem

Stanęli pod akacją
wplecioną niepewnie
w skwer tuż obok
alei różanych badyli,
które, jak wszystko tutaj,
i wszystkiemu wbrew,
próbują przeżyć jakoś tę zimę.
Ona prosi o coś,
on jej uparcie odmawia,
gestykują mocno.
Potem on szuka czegoś,
jak się okazuje — zapalek.
Ona kupuje w kiosku
chusteczki higieniczne.
Zdaje się, i ich skuła ta zima.
A jednak przyjeżdża tramwaj
i mimo wszystko
zabierają się razem.

Prognoza

Jesień cofnęła się w lato —
nic sobie nie robi z świętych
zakazów, nieodwracalny porządek
rzeczy zaniedbuje się w obowiązkach.

Ale spójrz — to nas, nie innych,
upodobał sobie w ten świąteczny
czas zły cień. Wkrótce dopadną nas

wszystkie nasze zaniechania, złe

uczynki innych przejrzą się w naszych
uczynkach, proste fakty powiedzą
o nas więcej, niż skłonni bylibyśmy
odsłonić sami przed sobą.

O!

Zmarznięta ziemia pęka
na przekór cofającej się zimie.
Dzikie gęsi wracają postnym
niebem — patrzymy i...

cieszy! W kieszeniach bilon
łaskocze zziębnięte dłonie.
Wiatr pryska od klaszczących
futryn. „Nie wychodzić” —

umówiło się osiedle, wróciło
z kościoła, trwa przy swoim.
Ale, o! wróbel odciska
pieczęcie na szronie!

Sonet po przerwie

Kontra słońca, kiedy banery klaszczą
niczym powieki PRZYJAZDY/ODJAZDY
w holu opustoszałego dworca.
Jakże zdumiewają dziś zdania ulic,
równoważniki przecznic!
Mężczyźni wylegli z bram —
armia niepewnych przecinków
w drodze pod „Biedronkę”.
Średniki kobiet chłoną chłód w cieniu akacji,
wesolo płyną kursywy witryn.
Mówi to ktoś ukryty w naparstku cienia.
Notował na kartoniku, ale przestał.
Szatynka nuci szanty, wiatr dmie w żagiel
jej prania, jakby chciał przestawić Główną.

Godzina dziewiąta

Zielony masztowiec elewacji pręży
żagle okien w pierwszym słońcu.
Mewy anten wszczęły na dachu
światlny zgiełk, czeszą skrzydła
nad bocianim gniazdem klatki schodowej,
którą ktoś akurat opuszcza się w dół.
Ich pióra dają znaki lusterkiem?
Lecz kim jest kobieta, która bez obaw
przemierza fale powodziowej trawy

pieniącej się czarno w korycie Warty,
czyją jest posłanką i jakie niesie wieści?

Opowieść wildecka

Co rano to samo miejsce wystawione
na sprzedaż oczom:
złuszczona pletwa kamienicy
na brzegu nieruchomego morza ulic,
mężczyzna-ptak uprzęta śmieci
z plaży chodnika zalegające
po nocnym przypływie jak martwe ryby,
nerwowy rój w zatoce bramy.
Na słupach króluje miłość:
„Droga diskdżokejko, Beato, córko dróżników,
numer telefonu do ciebie był trefny,
odezwij się, bo tęsknię! Krasnoludek z «Panoramy»”.

A jednak język odwraca się od oczu tego miejsca.
Niewidzialna dłoń odpina kaburę
w trzcinach kominów, odbezpiecza spust.
Strażnik przygląda się zewsząd.

Niekonieczny list z wakacji

Dzień rozpoczął się od płaczu dziecka,
błękit przesuwiał się nad blokami jak dynamit,
jak ebonitowa kość, kiść lodu.
Odniosłem wrażenie, że czyjaś twarz
przegląda się w kreskach asfaltu.
Górą i po bokach zielenie w płynnym pędzie,
ogryzek słońca odgryzł się zza wierzb.
Ruszyliśmy — już po kwadransie
wieloryb jeziora oddychał z trudem,
zaryty w piach u naszych stóp.
„Nie lubię myślników” — zagaił ktoś —
„Ich rozchelstanie zastąpiłbym najchętniej
pożywną mową prostolinijnych przecinków”;
nie było chętnych do podjęcia wątku.
Tylko cienie pod brudną pończochą wody
oddawały się zabawie w ciepło-zimno
i małolaty na brzegu wrzeszczały
przed odprawą za granicę zmysłów.

Dedykacja

Ciemna zmarszczka rzeki żłobi
równinę ciągnącą się stąd
aż do miejsca, gdzie jak podpalony
ul dogasa miasto; wiatr czesze

opustoszałe ulice. Czyja brzytwa
strzyże ich karki, czyja strzyże
ich szyje? Psi ząb — księżyc — gaśnie.
Świat ciemniej: puls w skroniach

skazańca. Zaraz śnieg spadnie,
pokryje ich twarze. On pozna słone
jezioro jej brzucha, szubienicę
piersi. Zanim śnieg zgaśnie.

Lekcja anielskiego

Rzeczywiście. W zasadzie wszystko
stało się do przyjęcia. A że od razu
„Ciepło zabija”, „Wyróżniam przynajmniej
cztery rodzaje śniegu”, w końcu

„Zjadłem księżyc?” I to się zdarza.
Na razie wszakże jedynie mgły mamy
pod dostatkiem. Zieleń niepewna,
jak początki ognia, upomina się o nas

zza drzew. Zatańczę list do ciebie.
Zamilczę piosenkę. I takich wiatr nas
porwie (jak w bajkach, jak w baśniach).

Każde z własną melodią, w swojej koronce
snu. I chmury za oknem podają sobie
z ust do ust nasze pocałunki. Rzeczywiście.

Pamiętka po mojej Łodzi

Nocne dwadzieścia dwa kładzie plaster światła
na obtłuczonej fontannie, skręca, wprawia w gorączkę

pękniętą szybę w oknie. Neon-policjant zagląda
przez nie, donosząc bez troski o ortografię:

POLLENA — NAJLEPSZE ŚRODKI HEMICZNE,
pod blokiem taksówkarz dobija starego fiata.

Sajewicz, z niezawodną teczką, przyspiesza kroku.
Liście lipy, po nocy? Nagle prześwietlony: — „Dokumenty, proszę!”

Radość

Raptem życie zmienia się w „radość”,
dni płyną bezszelestnie jak kursywa
chmur w pogodną noc, choć
za oknami kwitnie już pierwsze
graffiti chłodu i miasto zbroi się
w popiele i ugry. Iskry twojego

śmiechu posiadły moc przemienienia —
staczam się z góry czasu, wciąż
szybciej i szybciej, przeszłość cofa się
za plecy na wstecznym biegu
jak poranna mgła, kieliszek z winem
stoi na łące ciała, usta mają smak mięty,
dłonie suną przez wzgórza brzucha
i piersi bezszelestnie jak wakacyjne pociągi,
za oknem miasto w woalu mroku,
jego niedościgła księga.

W tej podróży czekają nas wyłącznie
niespodzianki, choć będzie krótka
jak błysk flesza w zatoce oka.
Tymczasem usta przyjmują podarunek
ust, śmiech płynie rynną ulicy
jak wiosenny deszcz.

Jabłko

Kasztanowce uciekają za plecy
jak turyści zamykający
za sobą czym prędzej
drzwi wycieczkowych pociągów.
Kończy się ciepły wrzesień,
coś zastyga w pół ruchu — co?
Przez szybę autobusu widzę
dziewczynę z dzieckiem na ręku.
Śpią na pakowym papierze przed sklepem.
Wiatr szarpie drobne banknoty w jej czapce,
ona usta ma otwarte, głowa małego brudna jest

jak jabłko opiekane w ognisku.

Drugie dotknięcie

Obudził mnie głos konduktorki
i skrzep dymu na prześwietlonym niebie.

Otworzyłem oczy —
kopalnia unosiła się w powietrzu jak spławik.

Obok mnie jakaś dziewczyna
szepotała modlitwy pochylona nad książką do nabożeństwa.

Pociąg zwalniał,
pasja z jaką mówiła nabierała rozpędu.

Wychodząc, uśmiechnęła się —
poczułem uderzenie ciepła na wysokości serca.

Rozmowy rodzinne po latach

Tutaj wybuduję kort,
powiadomił ją,
ale na tyle głośno,
że słyszeli go wszyscy.

Południowe światło
przedarło się właśnie
przez mgłę, w której,
jak w dolinie,

tonęło miasto.
Samochody z ulicy
wprawiły szyby
w metaliczny dreszcz.

W kominku ogień
płonął przyjaźnie,
zaczerniając systematycznie
ochronne szkło.

Fasada i schody domu,
obserwowane z dołu,
istotnie prezentowały się
imponująco: ta kreska...

i włoski marmur
o niepowtarzalnej fakturze —
kazałem go sprowadzić
prosto z Palermo!

Na podjeździe, obok lipy,
jak zawstydzona dziewczynka
nie odrywająca wzroku
od sznurowadeł,

stała jodła mongolska.
Tutaj wybuduję kort —
chciał, aby to zdanie dotarło.
Oni jednak zapamiętają

nieokreślony gest matki.
Dłonie kreślące nad głową
znak kapitulacji.
Lub zgody.

Potem

Potem wynieśliśmy jego meble. Na podwórku
czekała ciężarówka gotowa do drogi.
W środku resztki cementu, splątane łańcuchy,
szmaty, tłuste papiery, koce.

Tyle rzeczy — nagle — stało się śmieciem.
Odwrócone krajobrazy lustra, kredens
z kolejnymi warstwami farby, które pękały
jak rzeczne dno po ustąpieniu wody,

licznik sprawdzany przez niego dzień przed
wizytą inkasenta. Oraz inne. Potem
opuściliśmy to miejsce, krzycząc i kłócąc się
o drobiazgi. Nie obejrzała się nawet

na poszarpane odłamkami ściany. Potem, w innym
mieście, podała wszystkie zdjęcia i listy
od niego i zestarzała się szybko. Wspomina, płacze,
przeklina. Potem wyniesiemy jej meble.

Błękitne kamienie

Zima dogasa. Białe ognie szronu tlą się
jeszcze — pod płotami, na trawnikach; wkrótce

zgasną. Ptak słyszany rano umilkł, teraz
sprzedawca warzyw przyjmuje pospiesznie

nową dostawę towaru w obawie przed deszczem.
Chmura za jego plecami rośnie jak wzgórze

formowane przez ruch lodowca. Świat obojętnie,
traci tętno, potem znów się rozpędza. Dotyczy

ich? Nas nie? Woda, z której wyszliśmy, otwiera
się i zamyka nad nami z cichym pluskiem?

Pocztówka z Inowrocławia

Przyśniła mi się podróż. Przyśniły
mi się wersy z *Songs of Experience*
Blake'a. Przyśniła mi się parafia
na wzgórzach w objęciach słońca.
Tydzień później, stojąc przed dworcem
w Inowrocławiu, patrzyłem na most
zatarasowany przez ciężarówki.
Jeszcze trochę, a dojechałby pan

nad morze — powiedział konduktor,
zanim wysiadłem z pociągu.
Pierwszy raz przespałem stację —
pochwaliłem się kobiecie z kiosku.
Jestem w Inowrocławiu — usłyszała
moja żona, kiedy do niej zadzwoniłem.
Pieniądzy wystarczyło jedynie
na karmelowe piwo i paczkę Westów,

ale siedząc w barze, do woli mogłem
patrzeć na kelnerkę i Cyganów

krojących w kącie chleb i tajemnicze
mięso. Byłeś tu przed laty, teraz
znów tu jesteś — pomyślałem,
przepuszczając dwa powrotne
składy. W pamięci stanęli: Kefir,
Sylwek, Punio — znów smażyliśmy
płocie na sennym ogniu. Wysoko
nad nami burza cięła nocne niebo
nierównym ściegiem błysków.
Potem *Psy wojny* w „Gongu”. Ktoś
załatwiał się bez skrępowania pod
nasze siedzenia. Klatki innego filmu
przesuwały się po szybach nocnego
pociągu. Oleśnica, wojskowe miasto,

powtarzałeś z dumą, zanim wojskowi
nie ścięli ci twojej dumy — włosów.
Nie otworzyło się już na całą szerokość
twoje ciemne oko. Osobno pozdrawiam
fale Bałtyku, betonową rurę służącą
nam za sypialnię. Karmę dla psów
i dzieciarnię z Oazy tuż przed świtem
burzącą spokój w osobowym linii

Białogard-Świdwin, Świdwin-Białogard.
Wino marki *Wino* pite dla rozgrzewki,
bo ziemia pod plecami twardniała nad
ranem w lodowaty kamień. Dziewczynę
z Koszalina, której imię zatarł czas.
Zgubną skłonność do picia. Zamykam
pudełko pamiętek, klucz, jak nakazuje
instrukcja, chowając w żołądku.

Tak!

Istotnie, najwyższa pora,
aby nadzieja zagościła
i w tym sercu. Pan nie
przypuszcza, jaka radość
teraz buchnie. Płomień

pożre lokomotywę razem
z maszynistą. Rodzina
w odświętnych paltach
wybiegnie z krzykiem
na ulicę, poniosą transparent:

ENTUZJAZM! Już pełne
są kościoły i słowo odzyskuje
cudowną moc! Śniły mi się
złe bajki. Źle, że się śniły.
Chwała uśmiechniętym

we śnie!

Nie widziałem jej od kwietnia

W żółtej kurtce przypomina Chinę.
Kiedy się uśmiecha, też przypomina Chinę.
A kiedy przyglądać się jej zbyt długo,
opuszcza powieki, jakby zasłaniała się liściem.

Maj

Zasuszone staruszki na ławce
pośrodku podwórka. Ich ptasie
paznokcie, ich stopy w foliowych
torbach okutane warstwami skarpet.

Powoli brniemy pod górę, po schodach
wyślizganych ich starczymi modlitwami.
Donos *Legia kurwa* na ścianie, czyjeś życie
za drzwiami ciężkimi od brązowej farby,

pies patrzy na nas i nie widzi ze starości.
Piękne są te brązy, piękne są te ślepe ślepia.
Pięknie psia sierść zakwita jak światło latarki.
Przyjemnie kaleczą oczy te brudne obrazki.

Meta

Może nie bliscy, ale jakoś połączeni z sobą,
sobie przeznaczeni. Aż któregoś dnia długo
i w tajemnicy ostrzony nóż przedarł się —
trudno powiedzieć przez co. I nie było powrotu.

Cięcie

Nazywałem się Latos. Tej środy, jak każdego
dnia kwadrans po ósmej, jechałem
samochodem do pracy. Dziwna rzecz — jakiś
czas temu poczułem, że tracę serce

do tych wszystkich spraw. Zacząłem się oddalać.
Nie przykręciłem półki. Sądząc, że jeszcze
zdążę, nie pozwoliłem zrobić sobie zdjęcia
z własnym synem. Zniechęcony rozmyślałem

wyłącznie o drobnych porażkach. Teraz leżę
ubrany w weselny garnitur. Mój ojciec
płacze głosem zranionego zwierzęcia.
Moja matka pyta bez końca: Dlaczego?

Nie rozumiem, co zaszło. Moja zdeformowana
głowa tonie w poduszce, jakby zapadała

się w ciemność. Ludzie, których kochałem i których
nie potrafię teraz rozpoznać, opowiadają

zdumiewającą historię, jakoby pogoda rozpadła
się na dwoje w miejscu mojego zejścia.
Do zakrętu słońce. Od zakrętu deszcz. Czuję, że
słabnę. Powoli staję się kimś innym. Ale,

jak przez mgłę, przypominam sobie, że nazywałem
się Latos, zanim nastąpiło cięcie.

Wiosna z bałasem epoki maszynowej¹

Ziemia dogasa pod okaleczoną bielą,
czern oddaje przyczółki napierającej
czerwieni, nie ugaszona krew wsiąka
w narożnik płótna. Ale labirynt

plam jest wyłącznie pretekstem, wskazówką,
aby rozwiązania szukać gdzie indziej,
na własną rękę. Przypuszczenia, ach, odsyłane
jak posłaniec z listem, którego nie ma

kto odebrać. Przykro nam — wszyscy
wyjechali, zamknięte.

Dziennik pokładowy

Stara kobieta na brzegu dni. Stoję i patrzę,
jak mgła dobija się i odwraca od moich okien.

Porzuciłam miasto pamięci — przeszłość.
Wciąż je rzucam. I wciąż słyszę tamtą muzykę,

głosy płynące z oddali. Stoję i patrzę, jak
życie pyszni się w koronach drzew na przekór

mojemu rozkładowi. Stara kobieta, z której sztydzą
dzieci sąsiadów. Skłócona z bazarowym

tandeciarzem. Z listonoszem — płazem, któremu
co miesiąc pozwalam oszukiwać na drobnych.

Kurczaki

Mówiłam, prosiłam — nie docierało.
Któregoś razu na moich oczach

¹*Wiosna z bałasem epoki maszynowej* — tytuł obrazu Morrisa Gravesa. [przypis autorski]

chwycił siekierę w garść, i dalej —
przewrotką przez płot. Zeszłej zimy

rozniosł nam telewizor. W drobny mak.
Siadamy do kolacji, on śrubokręt w rękę —
wykręca kineskop, pakuje do środka
żarówkę. Pytam: Tatusiu, co tatuś robi?

On na to: Przynieś ziarna, będę tu
trzymać kurczaki. Teraz też — nawet
nie wiedzieliśmy, że poszedł. Znaleźli
go strażacy. W rowie, kilometr stąd.

Okno

Dziewczyna ściskająca książki —
dlaczego dziwię się, przypominając
sobie ten widok? Gruby słownik
i coś jeszcze, w foliowej torbie
trzymanej na brzuchu. Otoczone
ramionami jak dzieci. Skąd
to natrętne skojarzenie z uprawą?
Kto jest kwiatem, kto marchewką?
Czyja dłoń pielęgnuje kwiat,
czyja marchewkę? Słońce przystanęło
nade mną i patrzy. „Ptak wykluł
się z jaja — musi je zniszczyć”.
Moje wciąż w całości. Mistrzowie
pierwszego kroku w formie,
choć od dawna powinni stać
w kącie. Zdanie jednego z nich
biegnie właśnie przez moją
głowę — beztroskie stworzenie
przybyłe bóg wie skąd. Po drodze
dowiedzieliśmy się tego i owego
o sobie. Nie ma wyjścia, zostajemy
razem. Tutaj, sto czterdzieści
trzy metry nad poziomem morza
głupot widać to całkiem wyraźnie —
jak na dłoni. Na dłoni języka?
Miasto faluje w dole niczym
pergamin unoszony przez wodę.
Słońce przystanęło i patrzy.
Jestem oknem słońca
zanurzonym w trawie.

Korekta w kwietniu

Wybuchy pąków, deszcz nacina
błękit zalewający wręgi kamienic.
Ale zaraz słoneczna rosa na dachach
i szybach! Przerzutnie światła

plenią się na bluzach malarzy
na przemian z głuchym akordem cienia.
Ulica nie ma ram — latarnio, ustaw
ją na baczną, zanim malarze obwiodą

podwórko granatowym pasem!
Gdyby jeszcze samochody zgodziły się
nie seplenić przez chwilę za oknem,

byłoby łatwiej — na amen utkwiliśmy
w zagonach zdań. Mój wehikuł
odbija szesnasta trzydzieści.

Kobieta patrzy na rzekę

Rzeka uprowadza wodę za most.
Woda jest zrezygnowaną dziewczyną.
Po moście sunie pociąg.
Właśnie zwolnił, wsuwa wilgotny pysk
między liście kasztanowców.
Zielone skarpety na nogach kobiety
pienią się jak trawa —
ktoś przesyła nam wiadomość:
TO NA CO PATRZYSZ JEST INNE!

Więc barka to grubo malowana rzęsa,
która utknęła w oku zatoki?
Ale zastanów się — list wyjęty rano ze skrzynki
stoi ością w gardle tego wiersza.
Twarz kobiety jest Buddą!

Spacerując nieopodal ESSO

Co tak siedzisz, dziadku?
Poszedłbyś stąd, schował się —
brzytwa chmur opada
w twoją stronę ciemnym ostrzem

i pierwsze krople uderzają
w piasek głucho jak kule.
Gdzie twoja żona?
Jeszcze niedawno kręciliście się

przy stacji we dwoje.
Musiała wyjechać lub zmarła,
skoro nie golisz się od tygodni,
skoro włączysz się samotnie.

Godziny

Jej dzieciństwo rozpadło się w pamięci
jak suszony kwiat. Po kobiecości

zostały tylko ślady. Nie może spać,
siedzi przed monitorem wpatrzona w kolejny
pasjans, który nie wyszedł. Modli się w myślach

do boga, którego imię dawno zapomniała.
Wielu wie o jej istnieniu, niewielu ono obchodzi.
Jej nogi stały się monumentalne jak doryckie kolumny.

Twarz — mapa dawnych zaszłości. Paznokcie u stóp —
łyse łby małych sępów. Jej myśli są jak wata.
Gdyby spadł deszcz, powiedziałaby „deszcz”.

Gdyby kazali jej wyjść z domu i zabrali
w nieznanym kierunku, nie stawiałaby oporu.

Historia

Ciężkie musi być
życie sprzedawcy samochodów.
Wciąż ta sama mowa o najtańszym kredycie,

o pakiecie
ubezpieczeń
w cenie sprzedaży.

Uśmiech
przyklejony do twarzy
niczym wąs dorysowany Giocondzie.

Patrzę na niego,
kiedy wraca ze sklepu
z bulkami i mlekiem w foliowej siatce.

Jego smutny pies
podąża za nim jak cień. Jego „szczęście”
rozkłada na balkonie poszwę wielką jak skrzydła orła.

Ale urlop to urlop, ma swoje prawa.
Czarny szpic zmieniony na podrabiane adidas,
firmowe daewoo na fiata pamiętającego lata osiemdziesiąte.

Jedynie
jego ostentacyjna milkliwość
jest niezmienna.

Myślę: Niemożliwe!
I zapewne ich krzywdzę, kiedy wyobrażam sobie
siedzących w domu, bez słowa.

Telewizor ćmi w kącie pokoju,
on siada do faktur, ona przynosi kawę i ciastka,
potem znika na palcach, żeby mógł studiować w spokoju.

Tyle lat

Któregoś razu po prostu wyszedł
i wrócił kto inny? Kto inny krząta się
teraz nad zachowaniem pozorów?

Dziś taki gorący dzień: on nie może,
nie potrafi myśleć spokojnie o tym,
co spostrzegł ani usiedzieć spokojnie

w jednym miejscu. A przecież milczącego
siadu uczył się tyle lat, tyle lat słuchał
cierpliwie, był, jak to się mówi, dobry,

wierząc: przyda się, w końcu się przyda.
I nagle — akurat dziś! — to przejmujące
uczucie gorąca, pewność: jestem osłem,

skoro dałem się w ten sposób nabrać.
Myśląc o nich, zapomniałem o sobie.
Ten przestraszony stwór to ja?

Granice

Okazuje się, że nadal nie potrafię powiedzieć,
po której jestem stronie, bo ani tu, ani tam.

Zadawania bólu i bezmyślnej krzywdy
wciąż nie znoszę tak samo jak jęku bezradności.

Zmieniałem zajmowaną pozycję —
to jedno jest pewne. Kiedyś ktoś przyszedł

do mnie z podobną myślą — powiedziałem:
Przyjacielu, takie sprawy załatwia się samemu.

I teraz, kiedy mówię innym, jak jest, słyszę:
Przyjacielu, takie sprawy załatwia się samemu.

Czarne twarze butów

A jednak najważniejsza metafora
przychodzi ostatnia, jak śmierć:
dzień po dniu wytapiamy metal,
który w końcu pociągnie nas na dno.

Biały poniedziałek

Miasto uwięzło w kleszczach lodu.
Mróz ścina wszystko, czego dotknie.
Szkli się na ulicach przejrzyste światło.

Kończy się biały poniedziałek —
piosenka zmęczenia na nóż i oselkę chłodu.
Wracam po omacku do domu —
szyby oczu przetarte brudną szmatką.

Dwie dziewczyny budzą przez chwilę
ciekawość tłumu, więc i moją, śmiejąc się
do rozpuku na zatłoczonym przystanku.

Ale już po chwili hałas tramwaju stojącego
przed politechniką ścina ich frywolne głosy
i w lot zrywa ścieżkę dostępu do świata,
nad którym wschodzi już trujący obłok ciemności.

I śnieg śmieje się jak sidła pod butami przechodniów.

Kule duńskie

*Anecie Lebmann, której nie widziałem
dziesięć lat, aż spotkaliśmy się we śnie*

Oczyszczalnia wydała trujący gaz.
Trująca mgła przenika śpiących.
Ale we śnie prowadzę osła
przez śnieżycę i dawną kobietę
z dzieckiem obcego mężczyzny.
I już płomień liże uśpione palenisko,
i budzę się wypoczęty, śnieg mając
w płucach i w przejrzystej głowie.
Osioł leży na wznak, z racicami w górze.
Śmierć postronkiem ścisnęła osłu racice.
Oczy jego zmienione w duńskie kule.

Ten utwór jest udostępniony na licencji Licencja Wolnej Sztuki 1.3.

Źródło: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/grzebalski-drugie-dotkniecie-cykl>

Tekst opracowany na podstawie: Mariusz Grzebalski, Drugie dotknięcie, Biuro Literackie Port Legnica, Legnica 2001.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Reprodukacja cyfrowa wykonana przez fundację Nowoczesna Polska z egzemplarza pochodzącego ze zbiorów autora. Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Aleksandra Kopec, Jan Szejko, Paulina Choromańska, Paweł Koziol.

Okładka na podstawie: [d_pham@Flickr](https://www.flickr.com/photos/d_pham/), CC BY 2.0

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Nowoczesna Polska – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przekaż 1% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Nowoczesna Polska, KRS 0000070056.

Pomóż uwolnić konkretną książkę, wspierając zbiórkę na stronie wolnelektury.pl.

Przekaż darowiznę na konto: [szczegóły na stronie Fundacji](#).